

Dwadzieścia jeden salw

14 lutego 2021

Tym, dla których pojęcie służba państwu nie jest sloganem, lecz sensem istnienia.

Helikopter wiozący VIP-a, wysokiego gościa z małżonką, wylądował na placu przed Białym Domem. Po chwili druga maszyna dowiozła resztę delegacji państwowej – w tym wicepremiera oraz ministra spraw zagranicznych. W ogrodzie, od strony południowej budynku, przed reprezentacyjnym wejściem czekał już prezydent Gerald Ford w towarzystwie m.in. sekretarza stanu Henry Kissingera i szefa sztabu armii USA – gen. Frederica Weyanda. Odegrano hymny obu państw, przetoczył się nad zebranymi grzmot dwudziestu jeden salw armatnich, pododdziały honorowe armii amerykańskiej stanęły do przeglądu. Po tej części uroczystości, zarezerwowanej w protokole wyłącznie dla głów państw, prezydent Ford a następnie jego gość wygłosili krótkie przemówienia, następnie z tarasu Białego Domu pozdrowili zgromadzonych witających i udali się do rezydencji prezydenta Stanów Zjednoczonych na oficjalne rozmowy. Najpierw – obu przywódców a później – plenarne, z udziałem najwyższych urzędników państwowych obu stron.

Tak 8 października 1974 roku, lądowaniem o godzinie 10,28 czasu miejscowego w Waszyngtonie rozpoczęła się najważniejsza część wizyty przywódcy PRL, pierwszego sekretarza PZPR, szeregowego posła na Sejm, w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Wizyta była dla obu stron ważna. Dla Edwarda Gierka był to szczyt sukcesów w pierwszej części jego przerwanej później dekady. Nie miał zamiaru jednak poprzestawać na tym, co osiągnął. Rozmowy w USA, szczególnie te gospodarcze, były bardzo istotne. Powołano wspólny Fundusz im. Marii Skłodowskiej Curie jako narzędzie współpracy naukowo – technicznej obu krajów. Założono zwiększenie obrotów handlowych do 1 mld USD w 1976 roku (jeden miliard wówczas to

jego wielokrotność dzisiaj)). Podjęto decyzję o rozbudowie siatki regularnych połączeń lotniczych między Polską a USA. Zawarto umowy licencyjne, wśród innych także na zakup i produkcję kolorowych kineskopów, będących produktami podwójnego zastosowania.

Strona amerykańska była zaskoczona świetnym przygotowaniem merytorycznym polskich negocjatorów. Dawała temu wyraz. Zresztą trwał czas „detente“, odprężenia w relacjach Wschód – Zachód i Ameryce zależało na jego pogłębieniu, choćby po to, by wyraźniejsze stały się rysy na „monolicie“ Paktu Warszawskiego. Kto mógł przypuszczać, że już niebawem wybuchnie kryzys finansowo – gospodarczy obejmujący Europę Zachodnią i USA, grzebiąc pod odłamkami tej katastrofy nadzieje Gierka na wzrost eksportu na Zachód licencyjnej produkcji i dalszy dynamiczny rozwój kraju.

Tymczasem jednak trwał czas niewątpliwych sukcesów. Inwestycje – powszechna motoryzacja społeczeństwa dzięki produkcji w FSM w Bielsku-Białej Fiata 126p , budowa huty Katowice oraz Portu Północnego, Centralnej Magistrali Kolejowej, trasy szybkiego ruchu Warszawa-Katowice, dworca kolejowego Warszawa Centralna, Trasy Łazienkowskiej w Warszawie, potęgujących możliwości logistyczne kraju. Rafinerii Gdańskiej i Elektrowni Bełchatów wzmacniających polski sektor energetyczny, produkcji traktorów Fergusson w zakładach Ursus dla sektora rolniczego, autobusów Berliet na licencji francuskiej, masowego budownictwa mieszkaniowego z prefabrykatów „wielkiej płyty“ dla ogółu obywateli i wiele innych.

Owszem, linie kredytowe wówczas zaciągnięte obciążały Polskę przez wiele lat ale i tak były znacznie mniejsze, niż zaciągnięte przez aktualne władze z ich widocznym, lub raczej – niewidocznym tymczasem efektem, który w perspektywie „ulży“ kieszeniom obywateli.

Te działania Gierka, człowieka odmiennego od pozostałych szefów partii w obozie realnego socjalizmu, bowiem wychowanego

w społeczeństwie zachodnim, we Francji i Belgii, budziły irytację i obawy sojuszników. Nagłaśniali je szefowie partii NRD – Erich Honecker i Czechosłowacji – Gustaw Husak. Jednak najważniejsze było stanowisko Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego wobec poczyń Gierka.

Piotr Kostikow, nadzorujący sprawy polskie w ramach Komitetu Centralnego partii ZSRR wyrażał się krytycznie o „fascynacji Gierka Zachodem i USA”, podobnie widział to też zastępca członka Biura Politycznego KPZR, jej sekretarz, odpowiedzialny za stosunki międzynarodowe, Borys Ponomariow.

Gierek rozumiał, że postawił nogę na „czerwonej linii” zbliżenia z Zachodem, którą nakreślił potężny wschodni sąsiad, jako nieprzekraczalną. Mimo to dokonał tego kroku. Mógł to zrobić także dzięki świetnemu merytorycznie i efektywnemu przygotowaniu wizyty w USA, której pozytywnych wyników dla „gospodarki socjalistycznej” przywódcy ościennych państw nie mogli kontestować.

Kilka dni wcześniej, przed wizytą Gierka w USA pod warszawski budynek u zbiegu ul. Pięknej i Al. Ujazdowskich podjeżdża ciężarówka firmy przeprowadzkowej.

Czterech mężczyzn, z trudem wciąga na pasach szafę na jedno z pięter kamienicy.

Nikogo to nie dziwi, bo lokal jest podnajmowany i często zmieniają się zamieszkujące go osoby. W rzeczywistości był to stały punkt obserwacyjny polskich służb, skierowany na budynki ambasady USA po przeciwnej stronie ulicy.

Podobnie było od strony Al. Ujazdowskich, tam z kolei stały punkt był usytuowany w wysokim budynku pod numerem 8, dawniej z restauracją „Ambasador” na parterze.

Gdy w kamienicy przy ul. Pięknej 1B zatrzaśnięto drzwi mieszkania, które opuścili już tragarze, i otworzono drzwi szafy, dla dwóch lokatorów stało się jasne, czemu ten mebel

był tak ciężki. Wewnątrz znajdowało się urządzenie złożone z kilku bloków – zasilania, sterowania i emitera impulsów, czegoś w rodzaju rury o stosunkowo dużej średnicy, wydłużonej na kształt obciętej lufy armatniej, zawierającej elementy optoelektroniczne i instalacje generujące impulsy.

W latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku Polska była pionierem i liderem światowym w dziedzinie techniki laserowej. W Instytucie Elektroniki Kwantowej Wojskowej Akademii Technicznej powstawały w połowie tych lat lasery impulsowe dużych mocy a jeszcze wcześniej – w 1966 roku przekazano Zakładom Produkcji Doświadczalnej WAT laser molekularny na dwutlenku węgla o dużej mocy do zastosowania w przemyśle przy cięciu i spawaniu różnych materiałów. Teraz produkt myśli technicznej polskich naukowców miał się sprawdzić w zupełnie nowej roli...

Józef Osek, dyrektor Departamentu I MSW od listopada 1971 roku, a więc szef wywiadu, zarywał kolejną noc. Tak było już od paru tygodni ale złożoność operacji, którą przygotowywał mogła kogokolwiek przyprawić o bezsensowność. Zgodnie z zasadami sztuki wywiadowczej każdy znał fragment większej całości, jemu należny. Wszystkie nici zbiegały się w gabinecie szefa i tylko on wiedział, co się naprawdę szykuje. Oczywiście formalnie był powiadomiony o sprawie minister spraw wewnętrznych Stanisław Kowalczyk ale gdyby Oskowi powinęła się noga, to jego przełożony z wyprzedzeniem poinformował go, że zrzuci to na karb braku subordynacji podwładnego. Ludzie z Wydziału III, z ochrony kontrwywiadowczej, czuwali w stałych punktach obserwacyjnych, specjaliści wydziału IX przygotowywali środki techniki operacyjnej, od prozaicznych amperomierzy począwszy do specjalnych zestawów wytrychowych, koledzy z sekcji fotograficznej gromadzili materiały światłoczułe i aparaty do precyzyjnej dokumentacji zdjęciowej. VII Zarząd (Wywiad Naukowo-Techniczny) a właściwie jego wydział I organizował unikalne urządzenia, niezbędne do wykonania zadania.

Dyrektor Osek czekał jeszcze na sygnał od źródła w

rozpracowywanym obiekcie. Wreszcie sygnał nadszedł...

Ponieważ budynek, który grupa operacyjna miała nocą spenetrować z zewnątrz był chroniony przez kamery telewizji przemysłowej, a wewnątrz podzielony na liczne strefy, zamknięte analogowymi, numerycznymi zamkami elektrycznymi, (były wprowadzane i zamki klasyczne, ale ich otwarcie zajmowało jednemu z członków grupy tyle czasu ile dyletantowi w tej pracy przekręcenie w nich klucza) opracowano system kombinacji cyfr, pozwalający na ich szybkie odblokowanie. Pomocny okazał się tu pracujący w MSW pierwszy polski pecet K-202 projektu genialnego inżyniera Jacka Karpińskiego, na układach scalonych, z pamięcią operacyjną do 8 MB (dla porównania – amerykański PC IBM z owej epoki dysponował 64 kilobajtami). Grupy cyfr trzeba było jakoś zachować, aby użyć ich w miejscu przeznaczenia, rozkodowując natychmiast algorytmy zastosowane w zamkach. Tu przydał się zaadaptowany „akumulator cyfr” do szyfrogramów, używany w błyskawicznej radiołączności. Ten prekursor pendrive’a „gwizdka” USB, był w stanie pomieścić 1000 grup 5-cyfrowych tzw. gamy szyfrowej, które później, w ułamku sekundy, można było wyemitować poprzez przenośną mini – radiostację. Radiopelengatory obcych służb rejestrowały jedynie pisk, trwający ułamki sekundy, i nie dający szans na lokalizację źródła transmisji. Takim sprzętem dysponowali już wówczas operatorzy polskiego wywiadu w terenie, którzy mogli wykorzystywać go, po uprzednim zapisaniu szyfrogramu np. podczas jazdy samochodem, używając zakamuflowanego pod radio nadajnika i nie rzucającej się w oczy anteny samochodowej (kiedyś takie, jak długie, giętkie bicze, były wręcz modne). Co prawda ten solidny prostopadłościan, po odpowiednich modyfikacjach, ważył około kilograma i był w stanie zachować zgromadzone w nim informacje jedynie przez około pół godziny, ale był to czas wystarczający dla operatorów w trakcie wykonywania zadania w budynku. Ćwiczyli zresztą przebieg akcji wielokrotnie na symulowanych trasach i zabezpieczeniach, ze stoperem w ręku. Wychodziło im – plus, minus – pół godziny.

Do szefa polskiego wywiadu dotarły, oprócz oczekiwanego sygnału, dodatkowe szczegóły. W ambasadzie USA w Warszawie powstał dokument, określający główne tematy rozmów i sugerowaną taktykę w trakcie spotkania prezydenta Geralda Forda z Edwardem Gierkiem. Precyzował kierunki zainteresowań, dezyderaty i nadzieje polskiego rozmówcy, widziane przez dysponujących też polskimi źródłami osobowymi funkcjonariuszy CIA, pracujących na dyplomatycznym przykryciu. Dokument miał trafić via Langley do rąk Henry Kissingera a stamtąd do prezydenta Stanów. Tymczasem, jeszcze przed zaszyfrowaniem, złożono całość dokumentacji w sejfie, w pomieszczeniu przylegającym do gabinetu ambasadora Richarda Townsenda Daviesa, zresztą zawodowego wojskowego, który miał nazajutrz podpisać materiał i wydać polecenie jego wyekspediowania. Miał dotrzeć do USA, dla pewności, dwiema drogami. Jako niezaszyfrowany maszynopis walizką dyplomatyczną i jako obszerny szyfrogram via radio. Nie można było dłużej zwlekać.

Szef wywiadu wydał rozkaz, z pełną świadomością, że w razie „wpadki” może dojść nawet do odwołania wizyty, przy czym kwestia jego dyrektorskiego fotela była niczym. Ale wiedział też, że pozyskanie tych dokumentów dawało fory polityczne jego przełożonemu – Stanisławowi Kowalczykowi a przede wszystkim – Edwardowi Gierkowi w rozmowach z Geraldem Fordem i szansę na wynegocjowanie najkorzystniejszej dla Polski wersji umów międzypaństwowych.

Grupa pięciu ludzi w czarnych kombinezonach i kominiarkach zdecydowała się forsować ogrodzenie ambasady USA od strony Pałacu Lilpopów z bujnie zadrzewionym ogrodem, pod numerem 33/35 Al. Ujazdowskich. Roślinność i noc stanowiły naturalną, acz marną osłonę, bo mimo iż były to tyły kompleksu budynków ambasady to i one miały ochronę w postaci reflektorów z monitorami ruchu i kamer telewizji przemysłowej.

Dowódca zespołu operacyjnego dał sygnał przez walkie-talkie ekipie ze stałego punktu obserwacyjnego przy ul. Pięknej. Chwilę po tym silny impuls lasera poszedł w stronę wartowni, w

której pełnili służbę marines. Miał oślepić kamerę bocznego skrzydła ambasady. Udało się dopiero za drugim podejściem. Efektem pierwszego był idealnie okrągły otwór w szybie wartowni, nie powodujący jej rozbicia, nad czym długo później głowili się amerykańscy spece. Oślepiona drugim, słabszym impulsem, kamera zaowocowała ciemnym polem na monitorze kontrolnym perymetru ambasady i ściągnięciem dodatkowych sił do jej pomieszczeń od strony ul. Pięknej tudzież dekoncentracją żołnierza piechoty morskiej, śledzącego szereg migających naprzemiennie monitorów. To wystarczyło. Po nieco więcej niż minucie cała piątka była już na terenie placówki dyplomatycznej. Otwieranie kolejnych drzwi w słuzach szło bez przeszkód. Aktorzy tego teatru cieni, momentami wspomagani wąskimi snopami czerwonego światła i sprzętem zbliżali się nieuchronnie do tylnego wejścia ambasadorskiego gabinetu, skąd mieli bliżej do sejfu. Elektronik zespołu rozkodował ostatni zamek i stanęli „oko w oko” ze swym obiektem pożądanego.

Sejf wyglądał solidnie i głowice zamków szyfrowych na nim – również. W zespole był arcymistrz ich otwierania. Żaden trezor bankowy nie byłby w stanie mu się oprzeć. Ale wymagałoby to zabawy ze stetoskopem, na co nie było czasu. Ale i to przewidziano. Jeden z członków ekipy wyjął kasetę z arkuszem kliszy światłoczułej, drugi – otworzył niesiony przezeń pojemnik z talem 204 tl (ten sztuczny radionuklid, transuranowiec był radioizotopem dostarczonym z IBN w Świerku, gdzie funkcjonowały reaktory zbudowane w Polsce – „Agata” i „Ewa” – skrót od słów „eksperymentalny”, „wodny” i „atomowy”). Kierując otwór pojemnika pod określonym kątem na boczną ścianę sejfu, dał czas partnerowi na przyłożenie kliszy do drzwi pancernych. „Kasiarz” zobaczył zarys systemu zapadek. To mu wystarczyło. Po trzech minutach sejf stanął otworem. Kolejny oficer-operator szybko sfotografował materiał. Uporządkowano maszynopis, zamknięto z powrotem sejf. Grupa ludzi, którzy mieli świadomość następstw promieniowania i konsekwencji choroby popromiennej, miała już opuścić pomieszczenie sejfowe, gdy ich uszu dobiegł cichy szelest. Zamarli. Po chwili

człowiek z VII zarządu otworzył skrytkę w ścianie. Był w niej magnetofon, uruchamiany automatycznie jakimikolwiek sygnałami dźwiękowymi, jeśli do takowych, w pomieszczeniu po jego zamknięciu, dochodziło. Delikatnie, w lateksowych rękawiczkach, które nie ograniczały jego ruchów, wyjął magnetofon. Był to profesjonalny Kudelski. Na szczęście wcześniej założyciel tej sławnej na Zachodzie firmy, emigrant z Polski, podarował swej ojczyźnie, widząc niezaprzeczalne symptomy jej rozwoju w latach 70-tych, licencję na produkcję tego sprzętu.

Nie miał więc on dla oficera VII zarządu żadnych tajemnic. Wycofał taśmę, skasował zapis, i ostrożnie, już po wyjściu kolegów z pomieszczenia, umieścił go z powrotem w skrytce. Pięciu ludzi, jak pięć duchów, szybko pokonało całą trasę, tyle, że w odwrotnej kolejności, skrupulatnie zamykając za sobą zamki śluz. Po około siedmiu minutach byli już z powrotem w ogrodzie pałacu Lilpopów, nie pozostawiając żadnych śladów swej tajnej operacji. Od startu do końca trwała w sumie nieco mniej niż pół godziny.

Na kilka dni przed tym, nim helikopter wiozący Edwarda Gierka wylądował na placu przed Białym Domem, na biurku pierwszego sekretarza PZPR „wylądował” ściśle tajny dokument specjalnego znaczenia. Zawierał pełną informację o tym, jaka będzie taktyka i główne akcenty w polsko – amerykańskich rozmowach bilateralnych, forsowane przez gospodarzy...

Później dziwnym zbiegiem okoliczności Minister Spraw Wewnętrznych – Stanisław Kowalczyk w październiku 1974 roku został wypromowany na generała brygady MO a następnie – zastępcę członka i w końcu – członka Biura Politycznego partii.

Pułkownik Józef Osek, później – generał brygady, szefował wywiadowi do listopada 1974 po czym, w 1975 roku został powołany na spokojniejszą i bardziej lukratywną funkcję wiceprezesa Głównego Urzędu Ceł.

A co z pozostałymi bohaterami, bez żadnych cudzysłówów, naszej historii? Jeden z nich zmarł szybko w wyniku ostrej choroby popromiennej z anemią plastyczną i białaczką. U drugiego choroba ta przybrała formę przewlekłą ale przez to nie mniej śmiertelną. Kolejnych trzech los oszczędził. Wspomniany wirtuoz precyzyjnego odblokowywania zamków szyfrowych, który mógłby zbijać kokosy w podziemiu kryminalnym dzięki swym umiejętnościom „kasiarza“, były funkcjonariusz IX wydziału I Departamentu wegetuje na szczątkowej emeryturze,, którą mu załatwili aktualnie rządzący ustawą represyjną, surrealistycznie zwaną dezubekizacyjną, chociaż dotkniętych nią pracowników UB ze świecą szukać, bowiem zadziałały tu bezwzględne prawa biologii i ludzie ci odeszli w bezpowrotną przeszłość. Elektronik, w podobnej sytuacji, dorabia naprawianiem komputerów do w miarę godnej materialnie starości. Dowódca zespołu zapodział się gdzieś z upływem lat, nie można wykluczyć, że już zmarł. Tyle tylko można powiedzieć o jednej z najefektowniejszych operacji polskiego wywiadu po II wojnie światowej. „Tylko“, bowiem są zasady pracy wywiadowczej, które każą milczeć w kwestiach dotyczących bezpieczeństwa Państwa bez względu na szafowanie przez polityków „odtajnieniem“ i „zwalnianiem z tajemnicy“, ze szkodą, jaką nawet dzisiaj może wyrządzić taka ich działalność Polsce.

Autorstwo: Tomasz Turowski

Źródło: Trybuna.info

Od autora

Operacja opisywana rzeczywiście miała miejsce. Sfabularyzowana forma niniejszego tekstu wynika z tego właśnie, co ująłem w ostatnich dwóch zdaniach artykułu. Szanujące się służby w państwach, gdzie rządzący realizują instynkt państwowotwórczy zamiast o nim mówić, chronią swe źródła i szczegóły operacji znacznie dłużej, niż rutynowe 50 lat. Wystarczy przytoczyć „sukcesy“w dopraszaniu się strony polskiej w MI6 o

dokumentację katastrofy gibraltarskiej, w której zginął Naczelny Wódz i premier – generał Władysław Sikorski, że nie wspomnę o wywiadach używających nieco pompatycznej w brzmieniu pieczęci na dokumentach: „Zachować w tajemnicy po wieczne czasy”.

0 autorze

Tomasz Turowski – pułkownik polskiego wywiadu, wcześniej PRL, a później, jako pozytywnie zweryfikowany, w III RP. Także dyplomata (m.in. ambasador RP na Kubie oraz ambasador tytularny w Moskwie) i dziennikarz. Bohater paru filmów dokumentalnych zrealizowanych przez zachodnioeuropejskich producentów. Obecnie w stanie spoczynku, pisze książki. Współautor bestsellera „Kret w Watykanie”, który doczekał się kilku zagranicznych tłumaczeń. Autor trylogii „Dżungla we krwi”, „Krwawiące serce Azji” i „Moskwa nie boi się krwi”, wydanej też w pakiecie pt. „Bohaterowie cichego frontu”. Opublikował również książkę „Egzekucja” z pogranicza sensacji i political fiction oraz... tomik poezji. Dwie kolejne pozycje z gatunku spy-story są przygotowywane do druku.